

Legenda o Łynie

Hej, umiał ci śpiewać Jasiek sierota, bo umiał! Tak jak nikt! Kiedy był jeszcze mały i krowy rankiem brzegiem jeziora pędził, cieniutki jego głosik leciał po srebrnej rosie daleko, daleko... Pluskały, szemrały modre fale, chwiała się wysoka trzcina, wiatr kładł szerokie skrzydła na srebrną taflę wody, a Jasiek jak ten skowronek piosenką witał wschodzące słońce.

A znał tych piosenek jak nikt chyba na świecie. I tę o sierocińce, co chlebek cienki jak listek klonowy jadła, łzami go sierocymi oblewając, i tę o kaczorze i kaczusce po jeziornej toni pływających, i tę o jaskółkach, co nad dalekimi drogami przelatują, i tę o modrych oczkach, co spać im nieśpieszno, i o tym wianuszku lawendowym, co go dziewczyna, marząc o swym miłym, wije... Któż by policzył te pieśni stare, które cieniutkimi nutkami wyśpiewywał!

Mówiono, że o poranku wodnice z jeziora śpiewać go uczą. Nie wodnice to jednak, lecz szepty rodzinnych drzew mazurskich, szept fali jeziornej, trzcin smukłych szepty - lecz czy ludzie to rozumieją?

Kiedy już wyrósł i z rybakami na połów jeździć zaczął, piosenki jego płynęły daleko po modrej fali. A kiedy noc zapalała srebrne gwiazdy i zdawała się topić je w jeziorze, lubił Jasiek na dnie łodzi się położyć, w gwiazdy te patrzeć i cichego szumu fal słuchać.

Zdawało mu się, że wtedy właśnie płynie ku niemu najcudowniejsza melodia, ale takiej wyśpiewać by nie umiał.

Nie patrzył też Jasiek na żadną dziewczynę, choć dziewczęta we wsi piękne były jak malwy w ogródkach rosnące. Nieraz, gdy szedł wiejską ulicą, spoglądała ku niemu Michałowa córka, co oczy miała modre jak dwa bławatki w zbożu. Najpiękniejszy len hodowała i najcieńsze tkala płótno. Jedynaczka to była, ze starego rybackiego rodu się wywodząca, ale Jasiek jakby nie dostrzegał ani jej oczu modrych, ani jej rąk pracowitych.

- Ej, Jaśku, Jaśku – mawiał nieraz stary stryj Mateusz, który chłopca wychował - czas ci za dziewczuchą się obejrzyć! Michałowa Maryjka nieszpeta dziewczyna i skrzynię ma pełną cienkiego płótna. Bielszych obrusów, piękniejszych ręczników u nikogo nie znajdziesz.

- Zostawcie, stryjku, na razie o żadnej nie myślę.

Wiosłem wtedy Jasiek szybciej o wodę uderzał i godzinami milczał jak zakłęty. W wodę tylko spoglądał, jakby go stamtąd coś wołało, kusiło, wabiło...

Stryj Mateusz kiwał głową w milczeniu, puszczał kłęby dymu z fajki i tak milcząc płynęli, Ożywiali się wtedy, gdy sieć stawiała się ciężka od ryb.

Ale nadszedł czas, że ryby jakby ktoś wymiótł. Fala pluskała tajemniczo, srebrzyła się, błyszczała, ale sieci były wciąż puste.

Ani jednej rybki nie złowili. Stary Mateusz pykał fajkę w milczeniu lub ze złością sfluwał na wodę.

- Zaczarowane jezioro czy co?

A jezioro połyskiwało w słońcu jak zwierciadło z baśni.

Jednego wieczoru wyjechali znów na połów. Pływali długo - na próżno. Już zamierzali wrócić do brzegu, gdy coś nagle zatrzepotało w sieci i sieć stała się ciężka jak z ołowiu. Omal nie wpadli do wody. Uchwycili się mocno... i nagle ręce ich stały się słabe i wiotkie z przerażenia. Z sieci wyrzała olbrzymia głowa, ni to rybia, ni to ludzka, w koronie ze złota, drogimi kamieniami wysadzanej. Oczy w tej głowie płonęły niesamowitym ogniem, patrzyły władczo i groźnie. Z paszczy szeroko rozwartej wydobył się głos mocny, pluskowi rozgniewanej fali podobny:

- Rozplączcie sieci!

Pierwszy oprzytomniał stary Mateusz. Sieć ściągnął mocniej.

- A któż ty jesteś, co nie prosisz, a rozkazywać nam chcesz, hę?

- Król Tysiąca Jezior, władca tych wód! – odpowiedział gniewny głos.

Stary Mateusz ochłonął z wrażenia. Uśmiechnął się pod wąsem. Nie darmo wesołek był z niego i mówca pierwszorzędnym. Nie darmo na weselach oracje wygłaszał i najweselsze krotchwile w głowie mu się lęły. Łeb miał nie od parady! Toteż chrząknął raz i drugi, w błyszczące oczy potwora spojrzął i rzekł:

- Król czy nie król, aleś w naszej mocy. I próżno starasz się nam rozkazywać. Ryby nam wypłoszyłeś tak, że w kieszeniach wiatr nam pogwizduje, a w brzuchu z głodu burczy. Nie myśl, że cię puścimy. Mięsa z ciebie będzie więcej niż z dziesięciu szczupaków.

Targnął się potwór w sieci:

- Nie może to się stać! Nie tobie, człowieku, Króla Tysiąca Jezior zwojować. A że puścisz mnie wolno, obiecuję: ryb zawsze pełną sieć będzie miał każdy rybak z twojej wioski. Jeszcześ niekontent? Złota czy skarbów chcesz? I te ci dać mogę. Mów! Dam ci, czego dusza zapagnie!

Stary Mateusz uśmiechnął się chytrze:

- Czegóż może pragnąć stary rybak? Jeziora są tak twoje, jak i moje. Całe życie na tej wodzie spędziłem. Skarbu mi nie trzeba, bo mi słońko największym skarbem, dopóki nań patrzeć mogę. Myślę, że trzeba ci będzie, Królu, z życiem się pożegnać.

Błysnęły ciemne oczy Króla, a Mateusz dalej mocno sieć w dłoniach zaciska. Jasiek stał zdumiony, głosu z krtani wydobyć nie mogąc. Poblądł i w te oczy, połyskujące jak woda jeziora, patrzył niczym urzeczony. Stary Mateusz nagle roześmiał się:

- Che, che, che... A wiesz co, Królisko, może dobijemy targu! Widzisz ty tego chłopaka? Żadna dziewczyna mu się nie udała! Masz może, Królu, córkę urodziwą, przyślij ją Jaśkowi za żonę, a puszczę cię wolno!

- Stryjku, co wy! - wykrztusił Jasiek, ale stary Mateusz śmiał się, aż mu się broda trzęsła.

Rozległ się głos Króla Tysiąca Jezior:

- Dobrze. Dziś wieczorem, gdy księżyc wzejdzie nad wodę, wypłynie ku brzegowi moja najmłodsza córka. Dam ci ją za żonę, choć wielka to... wielka ofiara.

Zdumiony Mateusz rozluźnił uścisk rąk. Jak to się stało - nigdy już potem nie mógł wytłumaczyć. Fala plusnęła, a gdy się obejrzel, sieć była pusta. Dopiero wówczas Jasiek głos odzyskał:

- Stryjku, coście to najlepszego zrobili? Cóż mi po wodnicy? Co ja z nią pocznę? - powtarzał zrozpaczony.

Mateusz poskrobał się w ucho.

- Ano, myślałem pożartować tylko... a tu... – z frasunkiem spojrzął na chłopca. Ale wnet odzyskał rezon. - Czekaj, Jaśku, nie martw się. Kupić, nie kupić, potargować można. Pójdiesz wieczorem nad jezioro i rzekniesz tej wodnej pannie, żeby sobie popłynęła precz do swego rybiego tatula.

Kiedy srebrny księżyc wychylił się zza drzew, Jasiek pośpieszył nad jezioro. Nie chciał, by stryj posądził go o tchórzostwo. Pójdzie i powie wodnicy, że wcale jej nie potrzebuje. Usiadł nad wodą i zapatrzył się w cichą taflę jeziora. Lekko marszczyła się woda, srebrzona światłem księżyca.

Nagle, z daleka, jakby z głębi jeziora rozległ się śpiew. Był to śpiew tak piękny, że dusza Jaśkowa zamarała z zachwytu. Takiego jeszcze nie słyszał. Po srebrnej smudze płynęła ku niemu dziewczyna. Włosy miała długie i rozpuszczone, wianek z wodnych lilii opasywał jej czoło. Jasiek oczu od niej oderwać nie mógł. Podpłynęła bliźniutko.

- Jestem Łyna, najmłodsza córka Króla Tysiąca Jezior. Ojciec obiecał mnie tobie za żonę. Znam cię. Codziennie słucham twych pieśni i pokochałam je, tak jak tę krainę. Przyjrzyj mi się. Jeśli nie jestem ci niemiła, zostanę z tobą. Jeśli jednak zostanę i stopa moja dotknie ziemi, nigdy już nie będę mogła wrócić do moich sióstr i ojca, takie jest prawo Królestwa Wód. Czy potrafisz mnie pokochać?

Głos jej był cichy i słodki, a Jaśko czuł, że nic na świecie nie jest mu droższe nad tę dziewczynę z jeziora. Nie mógł wymówić słowa z wielkiego wzruszenia. Łyna podpłynęła do brzegu.

- Czy chcesz, abym została?

Jasiek podszedł bliźniutko, wyciągnął ramiona.

I stało się, że Łyna córka Władcy Tysiąca Jezior, jak zwykła warmińska dziewczyna zamieszkała w rybackiej chacie. Jak inne gospodynie tkła cieniutkie lniane płótno, gospodarzyła jak wszystkie, ale śpiewała tak cudnie, jak żadna z nich. Kochał ją Jasiek całym sercem, a najmiłsza to była chwila, gdy zmęczony z połowu wracał i odpoczywając mógł jej cudownego głosu słuchać.

Radowało się serce starego Mateusza, gdy na to szczęście patrzył.

Ale... gdy szczęście się śmieje - niedola za drzwiami już płacze.

Jaśka przywaliło drzewo w lesie. Leżał w izbie na łóżku i stękał cichutko, smutnymi oczyma za ukochaną Łyną wodząc. Życie z niego uchodziło - czuł to i łyzy mu do oczu same napływały.

Jakże mu umrzeć przyjdzie, a swoją ukochaną zostawić? I Łyna widziała to uciekające z niego życie. Rozpaczliwie czepiała się resztek nadziei, ale nadzieja w niej zgasła, gdy jednego dnia ujrzała na twarzy Jaśka szare cienie. Z rozpaczą załamała rękę.

Gdzie szukać ratunku? Gdzie szukać ocalenia dla ukochanego? Ratunek był jeden. Na dnie jeziora w ogrodzie jej ojca rósł krzew niezwykły, życiodajny. Wystarczy wymówić zaklęcie...

Tylko tam można znaleźć ratunek dla Jaśka. Ale prawo odwieczne Krainy Wód mówiło, że gdy kto raz dotknie ziemi, nie może już wrócić pod wodę. Straszliwa kara nie ominie tego, kto to prawo przekroczy.

Łyna raz jeszcze spojrzała na twarz Jaśka. Oczy miał przymknięte, szeptał jej imię. Rzuciła się ku drzwiom.

- Dokąd biegiesz? - zawołał za nią stryj Mateusz.

- Do jeziora!

Przez łąkę, przez gaj brzozowy, na przełaj biegła Łyna nie zważając na nic. Już z dala błyszczy lustrzana tafla wody, już jest blisko!

Popłynęła cicho, jak pływać potrafi ten, kto z wody wziął swoje istnienie i zna jej tajemnice... Coraz głębiej zanurzała się, coraz głębiej. Już widać pałac z bursztynu, pałac jej ojca. Ominie go dookoła, choć serce ciągnie, aby na chwilę popłynąć tam, gdzie żyła swobodnie, zanim wyszła na ziemię. Nie ma chwili do stracenia, Jasiek umiera.

Ominęła bursztynowy pałac, wpłynęła między krzewy przedziwnych wodorostów, tak pięknych, jakie rosnąć mogą tylko w krainie baśni. W środku ogrodu rósł krzew życiodajny. Srebrne jego gałęzie pokrywały kolorowe, o przedziwnym kształcie kwiaty. A każdy kwiat miał czarodziejską moc.

Łyna drżącymi rękami dotknęła jednego z nich, wymówiła zaklęcie. Kwiat powoli zaczął stulać przedziwne płatki, aż zamknęły się w duży cudowny pąk. Serce Łyny zabiło radośnie. Uratowany! Uratowany Jasiek. I dwie łzy potoczyły się po jej twarzy.

Łzy - coś nieznanego w podwodnym królestwie - upadły na dno jeziora i zadźwięczały tak głośno, że zbudziło się wszystko, co żyło wokół. Oprzytomniała Łyna i rzuciła się do ucieczki. Płynęła szybko, zadyszana, drżąca, a gdy już była blisko brzegu, rozległ się za nią głos ojca:

- Coś uczyniła, nieszczęsna? Dlaczego złamałaś odwieczne prawo Krainy Wód? Musisz teraz ponieść karę!

Łyna jakby nie słyszała tego głosu. Z daleka zobaczyła Jaśka. Wstał, był zdrowy, ożywił go czarodziejski kwiat! Biegł ku niej! Wyciągnął do niej ręce - jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Objął ją mocno uściskiem. Wzburzyły się wody jeziora i głos potężny rozległ się nad nimi:

- Łyno! Za złamanie naszych odwiecznych praw zostaniesz zamieniona w rzekę. A że miłujesz tę ziemię, opaszysz ją srebrną wstęgą.

Łyna czuje, że nogi jej stają się zimne, lodowaty chłód przenika jej ciało. Krzyknęła tuląc się do Jaśka.

- Ojczy, czyż nie wzrusza cię nasza miłość? Czy nie masz serca? Czyż miłość nasza nie jest potężniejsza od wszystkich odwiecznych praw? O, nie rozdzielaj mnie z ukochanym!

- Córo królewska, wiedz, że miłość to najpotężniejsze prawo ziemi, ale karę ponieść musisz. Nie rozłączę was jednak...

Od chaty biegł zdyszany Mateusz.

- Łyno! Łyno! Jaśku! Gdzie jesteście? - wołał.

Nagle stanął zdumiony. U stóp jego wiała się srebrna wstęga rzeki, której tu nigdy nie było. A na brzegu pochylona wierzba drobnymi gałązkami gładzi srebrzystą wodę, szumiąc cichutko, jakby najczulsze słowa miłości.

Zadumał się stary rybak. Potem dłonią otarł wilgotne oczy i zgarbiony poszedł powoli ku wiosce.

Mijały lata i mijać będą. Płynie Łyna, opasuje piękną wstęgą naszą ziemię, a nad nią wierzba drobnymi listkami szepce słowa miłości, jak w starej warmińskiej pieśni.